

# „Pan Zagłoba” w Gdyni

Z rezerwą i nieufnością odnoszę się zawsze do wskrzeszania na ekranie lub teatralnej scenie postaci znanych z literatury. Szczególnie ryzykowne wydaje się pisanie scenariuszy nowoczesnych widowisk w oparciu o powszechnie znane i gruntownie spopularyzowane dzieła literackie. Takie przedsięwzięcia niemal z reguły kończą się artystycznym niepowodzeniem, a widz konfrontując ożywioną dzięki własnej wyobraźni fikcję literacką z filmową lub teatralną jej konkretyzacją, przeżywa zazwyczaj coś w rodzaju szoku.

Polskim pisarzem, który najczęściej padał ofiarą filmowych scenarzystów i teatralnych adaptatorów był Sienkiewicz. Rezultaty owych inscenizacji lub ekranizacji bywały z reguły oplakane. W ostatnich latach bardziej na szczęście niż dawniej oszczędzono autora Trylogii, jednak choć dwukrotnie tylko sięgnięto do jego twórczości (Krzyżacy i Pan Wołodyjowski) rezultaty owych usiłowań wypadły beznadziejnie dla Sienkiewicza i stworzonych przez niego postaci.

Przekraczając próg Teatru Muzycznego w Gdyni celem obejrzenia musicalu „Pan Zagłoba” z niepokojem przypominałem sobie masakrę, jakiej na Sienkiewicu dokonali niedawno realizatorzy filmu „Pan Wołodyjowski”. Przyznam, że po prostu bałem się „Pana Zagłoby”.

Już po kilku minutach moje obawy ustąpiły, rezerwa zamieniła się w zainteresowanie, a nieufność w głęboki podziw dla autora libretta, czyli Wandy Maciejewskiej, która z ogromnie trudnego zadania wywiązała się — jakby powiedział Zagłoba — z ekstraordinaryjną doskonałością. Z fabuły „Ogniem i mieczem” skonstruowała wartko toczącą się opowieść, której tempa pozazdrościć mógłby niejeden western, uczyniła z Zagłoby postać centralną, dochowała wierności sienkiewiczowskim dialogom (udzielić powinna p. Maciejewska kilku lekcji szacunku dla tekstu Sienkiewicza naszym realizatorom filmowym), tu i ówdzie uzupełniła je niezbędnymi dla logiki akcji „dodatkami”, które zawsze zresztą znakomicie współgrały stylistycznie z oryginałem. Zagłoba Maciejewskiej był chyba taki, jakim chciał namalować go Sienkiewicz: rubaszny, po swojemu mądry, gorącym sercem obdarzony warchola, opój i tchórz nad tchórze... postać kahalana? Zagłoba stałowi nie tylko os, wókol której kręci się akcja musicalu, jest również moralnym usprawiedliwieniem widowiska. To przecież Zagłobie kazał Sienkiewicz powiedzieć zdanie, które zamyka gdyński spektakl: „Nie masz takowych terminów, z których by się podnieść nie było można”. Owa maksyma wynurza się znielacka z oparów win i miodów, stanowi poin-tę przedstawienia, pospolitego warchoła zamienia niespodziewanie w mędrca...

Szczupłość miejsca nie pozwala na bardziej szczegółowe omówienie de-

tań i poszczególnych elementów przedstawienia, trzeba jednak koniecznie powiedzieć, że widowisko — i to w widoczny sposób — stało się rezultatem twórczych i jednokierunkowo zbieżnych wysiłków kilku osób. „Pan Zagłoba” w gdyńskiej inscenizacji to teatr zintegrowany, w którym nie sposób określić gdzie kończy się rola reżysera (Danuta Baduszkowa), a zaczyna choreografa (Wiktor Charczenko) i scenografa (Barbara Jankowska), gdzie kończy się tekst i zaczyna muzyka — to przedstawienie stanowi całość nierozdzielalną i skonstruowaną w dodatku z jednolitego materiału.

Powiedziałbym, że najslabszą stroną spektaklu była muzyka Augustyna Blocha. Była ona zbyt uboga, wątła, by nie rzec — prymitywna. Brakowało śmielszych rozwiązań harmonicznych „intensywniejszej” instrumentacji, większego zróżnicowania metrorytmicznego. Odniosłem wrażenie, jakby kompozytor lękał się użycia bardziej wyrafinowanych środków warsztatowych, by nie zagubić uniwersalnej komunikatywności. To był błąd — trzeba ufać odbiorcy, wierzyć w jego możliwości percepcyjne.

Niech wybaczą mi aktorzy, że mówiąc o nich ograniczę się do stwierdzenia: bez dysponowania tak świetnym zespołem nie można byłoby marzyć o zrealizowaniu „Pana Zagłoby” w taki sposób, jak w Gdyni. Muszę wszakże wymienić jedno nazwisko — Józefa Korzeniowskiego. O aktorze tym można powiedzieć: był Zagłobą z krwi i kości!

Drodzy Czytelnicy: kłedy będziecie na Wybrzeżu idźcie koniecznie do Teatru Muzycznego w Gdyni na „Pana Zagłobę”. Daję słowo honoru, że warto!

KRZYSZTOF LISICKI